Nr. 15. Lwów, 16. maja 1898 r. Wydawnictwa Rok XX. Serja zmieniona.

GONIEC i ISKRA.

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów: 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów: 10. ct. w a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i pierwszego dnia każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pisma humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 8. i 23., oraz **bezpłatne premia**. Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów »Gońca i Iskry«. kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki*. W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych cześciach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 25 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki i z Brazylii najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi lub milrejsami *w listach rekomendowanych*, albo także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora. W dnie wychodzenia pism, gdy przypada niedziela, lub święto — numera wychodzą po niedzieli, lub po święcie.

Właściciel i naczelny redaktor: **M. Dzikowski-Chamski.**

Od Ekspedycyi.

Dla uniknienia nieporozumień, niniejszem objaśniamy, że gdy w dnie wychodzenia pism naszych przypada niedziela, lub święto, numera wychodzą po niedzieli, lub po święcie. Wzmianka o tem pomieszczona została, jako stałe wyjaśnienie pod głównym tytułem każdego numeru.

Od Administracji.

Dla zalegających w prenumeracie.

Prosimy stanowczo i usilnie o odesłanie pocztą zalegających należytości, o które w przeciwnym razie zmuszeni będziemy upominać się otwartemi kartami korespondencyjnemi. Zwracamy też uwagę, że zwlekanie z odesłaniem zaległej prenumeraty wyrządza krzywdę wydawnictwu i naraża na straty — a praca redakcyj polskich pism zasługuje na szczere obywatelskie poparcie.

Dla pp. Prenumeratorów w Ameryce.

Przy jednym z poprzednich numerów zawiadomiliśmy tych wszystkich panów w Ameryce, którzy zalegają w prenumeracie, aby, jak najrychlej odesłali należytości pocztą.

Powołując się na to poprzednie zawiadomienie dodajemy, że jeśli w najkrótszym czasie zaległa należytość odesłaną nie zostanie, upominać się o nią będziemy publicznie, z imienia i nazwiska, jak to jest przyjęte w amerykańskich pismach.

Wojsko amerykańskie.

Od czasu wielkiej wojny domowej, a więc od lat kilkudziesięciu, Europa nie zajmowała się kwestją wojskową w wielkiej rzeczypospolitej amerykańskiej. Dziś, gdy już wybuchła wojna z Hiszpanią, powszechne zainteresowanie zaczyna budzić siła zbrojna Ameryki, zorganizowana w sposób odrębny i sobie tylko właściwy. Stany Zjednoczone mają do rozporządzenia dwie armie: regularną, czyli wojska związkowe, w sile 35.000 ludzi i gwardję narodową, czyli wojska państwowe, w sile 150.000 ludzi. Wojska te, w ciągu kilku godzin mogą być postawione na stopie wojennej i wyprowadzone w pole. Ale ilu wojowników, czyli tak zwanych »Volunteers«, w razie potrzeby może postawić państwo na stopie wojennej, tego ściśle określić niepodobna, bo w niektórych wypadkach, nawet kobiety uzbrojone stają w szeregach.

Armia regularna składa się z piechoty, kawalerji i artylerji i stanowi jedyne wojsko liniowe Stanów Zjednoczonych. Używaną jest po większej cręści do obrony licznych fortów na zachodzie przeciwko indjanom. Piechota posiada wyborne karabiny repetjerowe systemu amerykańskiego, kawalerja ma doskonale trenowane konie, względnie najgorzej przedstawia się artylerja.

Umundurowanie składa się z ciemno niebieskiego kepi, ciemno-niebieskiego munduru i jasno-niebieskich spodni. Krój ubrania wygodny, praktyczniejszy od pruskiego. Armia związkowa składa się z mieszkańców wszystkich stanów. Kto chce dla karjery zostać żołnierzem, powinien tylko, jeżeli ma dwadzieścia lat skończonych, zameldować się w jednem z publicznych biur werbowników, istniejących po większych miastach. Tam po oględzinach lekarskich, jeżeli się okaże zdrów i nie waży więcej, niż 150 funtów, przyjmują go natychmiast. Ochotnik powinien umieć po angielsku i musi podpisać zobowiązanie ścisłego przestrzegania dyscypliny wojskowej na lat pięć. W pierwszym roku otrzymuje z początku żołd w sumie 13 dolarów miesięcznie (dolar około 2 zł. 50 ct.), w piątym roku służby dochodzi do 15 dolarów miesięcznie. W czasie służby dostaje mundur, broń i utrzymanie. Za oszczędzanie ubrania i wyekwipowania otrzymują premia, które po ukończeniu służby wraz z innemi oszczędnościami i procentami wypłaca im »paymaster«.

Służba w koszarach, lub »barraks« nie jest ciężka. Ćwiczenia w piechocie trwają np. tylko godzinę dziennie. Pozostający na urlopie, lub nie będący na służbie żołnierze, nie mogą nosić broni. Subordynacja bywa przestrzegana tylko na służbie, po za nią wszakże mało kto na nią zważa. Dezerterów, o ile złapią, co zresztą na dziesięć razy trafia się raz, karzą surowo.

Owa »armja związkowa« niewiele zaważy w wojnie z Hiszpanją, bo chociaż posiada dzielnych, wykształconych w szkole West-Point oficerów, lecz liczebnie jest za małą. W rachubę może być braną dopiero druga armja, — gwardja narodowa, która może odbyć dłuższą kampanię, lecz tylko w pewnych warunkach. Gwardja narodowa, oprócz milicji, we właściwem znaczeniu składa się jeszcze z »Volunteers«, t. j. ochotników. Do milicji Stanów Zjednoczonych należą wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni, w wieku od lat 18 do 45, zaś ochotnicy służą tylko w czasie wojny i we właściwych stanach. W czasie pokoju, gwardja narodowa jest rodzajem straży bezpieczeństwa, czuwającej nad prawami obywateli. W razie wybuchu wojny, tworzy ona szkielet organizującej się armii, złożonej z milicji i ochotników pod naczelnem dowództwem prezydenta. Jej wyekwipowanie składa się z szarego »sombrero«, obszernej ciemno-niebieskiej bluzy, lub kurtki, jasno-niebieskich spodni, kamaszy z płótna żaglowego, tornistra z »ponchem«, płaszczem, kołdrą wełnianą, karabina z bagnetem, ładownicą i z naczyń kuchennych. Od tego typu umundurowania zdarzają się wszakże rozmaite odstępstwa. Niebieski kaszkiet z daszkiem, a latem wielki hełm i białe spodnie dopełniają umundurowania. Żołnierz wojska regularnego bywa wogóle przez ludność traktowany dość pogardliwie, natomiast służba w gwardji narodowej uważaną jest za zaszczyt. Gwardja narodowa reprezentuje kwiat demokratycznej młodzieży amerykańskiej. Przyzwolenie kolegów rozstrzyga o przyjęciu do gwardji. Często kandydat podlega głosowaniu, jeżeli jednak pomylono się co do danej osobistości, wykluczają ją bez ceremonii. Oficerów wybierają sobie oddziały pojedyńcze, lecz wogóle nie jest w zwyczaju ubiegać się o wyższe stanowiska. Obecny naczelny dowódzca gwardji narodowej, był niegdyś prostym szeregowcem w Massachusetts.

Każdy gwardzista narodowy musi w wojsku służyć przynajmniej lat trzy, jeżeli jednak ma ochotę, może pozostawać w służbie lat dziesięć i dłużej. Wolny czas może poświęcać zajęciom prywatnym, musi jednak niezwłocznie stawić się na miejsce przeznaczenia wezwany sygnałem, lub rozkazem przewodniczącego. Posłuszeństwo jest tu ścisłe, a każde uchybienie pociąga za sobą karę pieniężną, lub więzienie. W czasie zimy, każda kompania odbywa ćwiceenia cztery razy tygodniowo, oprócz tego są ćwiczenia batalionowe i pułkowe, nauka strzelania, oraz wykłady strategii i taktyki. Większą wszakże część czasu zabierają ćwiczenia atletyczne, koncerty i bale, których urządzaniem zajmują się oficerowie. Latem nie ma ćwiczeń pod dachem, lecz służba w obozie trwa od czerwca do września. O godzinie piątej strzał armatni budzi śpiących, a wieczorem po zachodzie słońca pobudka wzywa do spoczynku. W ciągu dnia, przez sześć godzin ćwiczą się, strzelają, maszerują i... flirtują, gdyż płeć piękna, o ile pogardza armią regularną, o tyle uwielbia smukłych, dzielnych gwardzistów narodowych i jest nawzajem przez nich wielbioną, co przy piękności amerykanek, nie przychodzi im wcale z trudnością. Poza służbą niema żadnej karności, oficerowie razem z szeregowcami bawią się, jedzą i piją. Jeżeli wziąć pod uwagę, iż większość gwardzistów mieszka na kwaterach prywatnych, oddalonych od punktów stałych, to trzeba podziwiać szybkość, z jaką stają w gotowości do wymarszu. W czasie wielkich zamieszek brooklińskich w 1895 r., o północy wydano rozkaz zmobilizowania pierwszej brygady i o godzinie 4-tej pięć tysięcy ludzi w pełnym rynsztunku było gotowych do wymarszu. W Pensylwanii, w ciągu jednej nocy, całą gwar-

dję stanu uruchomiono przeciwko robotnikom, zbuntowanym w wielkich zakładach fabrycznych Cornegie.

W czasie wojennym, gwardja podlega nader ostrej dyscyplinie. Najmniejsze wykroczenie przeciwko subordynacji jest surowo karane, za większe grozi często kula na miejscu.

Taktyka gwardji narodowej w bitwie zapożyczoną jest od indjan. Podsuwają się do nieprzyjaciela pod rozmaitego rodzaju osłonami, najczęściej pełzając i na dany sygnał wybiegają z ukrycia i z ogłuszającym wrzaskiem rzucają się do ataku.

Pierwszym krokiem Stanów Zjednoczonych po wybuchu wojny z Hiszpanią było mobilizowanie gwardji narodowej, potem nastąpiła mobilizacja milicji, a w końcu ochotników.

NAŁĘCZ,

Romans z dziejów polskich

Przez **AUTORA „POJATY“.**

(BERNATOWICZA.)

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 14).

ROZDZIAŁ XVII.

Gdzie tylko zwrócę oko, widzę kraj wesoły!
Tu wszystkie w jeden powab zbiegły się żywioły,
Tu stalsza piękne niebo rozjaśnia pogoda,
Tu jest lżejsze powietrze, przezroczystsza woda,
Wyższość góry przedmiotem wyższości przyczynia,
Las panuje nad górą, nad lasem świątynia!

Fr. Wężyk.

Mila od Krakowa, w okolicy rozkosznych Bielan, na pochyłości wzgórza panującego prześlicznej dolinie, leży wieś Naręczyn *), sławna żyznością ziemi, równie jak zachwycającem położeniem. Zdrój tam czystszy niżeli gdziekolwiek, kwiecistsze łąki, drzew żywsza zieloność, skały, groty, a w około Krakowa miłe widoki Tyńca, Wisły i dalekich Karpat, tę myśl na jej ujrzenie podają, że jeżli bogowie ojców naszych pogańskich niebyli mniej wytworni w smaku, jak bogowie rzymian i greków, zapewne w tem miejscu lube sobie mieszkanie mieć musiała jaka Wenus, albo Juno sarmacka. Lecz w wieku Kazimierza, inna była dola Naręczyna, chociaż niemniej szczęśliwa. Porządne chaty wieśniacze, uprawne ogrody, niwy pięknym okryte zasiewem, tuczne bydełko, a co najmilsza, lud swobodny dobroczynnem pana staraniem, wyłączać ją zdawały się z powszechnej kraju niedoli! To sioło błogosławione, z należącym do niego folwarkiem, było dziedzictwem Wierzynka, do którego swych przyjaciół odesłał.

Przybywszy tam z swą drużyną Kosidło, ktorego odtąd zwać będziem właściwem jego nazwiskiem Nałęcza, przyjęty przez ekonoma z uszanowaniem, znalazł wygodny pokój, usługę, posiłek, słowem najskwapliwszą w każdym względzie staranność. Dom drewniany, pod strzechą, nie miał w sobie nic okazałego; lecz go zalecała wytworna czystość i opatrzenie w to wszystko, co sielskie mieszkanie przyjemnem czyni. Dwa ganki obszerne, przecinające rząd kilkunastu okien od czoła, ocienione staremi lipami; rozległy dziedziniec z sadzawką w pośrodku, obwarowany do koła ziemnym wałem, porosłym różnych drzew gęstwiną; za nim, z jednej strony między drzewami na urwiskach skał, porozrzucane w różnym kierunku chaty wieśniacze, z drugiej szerokie błonia, otwierające widok Krakowa i jego okolic, składały Naręczyna obejście. Przydawała mu poważnej ozdoby sześcioboczna o trzech piętrach wieża gotycka, która będąc pozostałością dawnego zamku, z końcem domu złączona, służyć mu mogła w razie napadu za obronną strażnicę.

Około południa ukazał się pan domu, Wierzynek, witając gości w swej wiejskiej komnacie sercem pełnem najżyczliwszej chęci. Jużto nie był fukliwy starzec, byłto gospodarz, przyjęty najżywszą radością z przybycia przyjaciół. Podobał mu się z pierwszego wejrzenia udatny Bronisław, ściskał go serdecznie, dobrą cieszył go nadzieją, lecz niechciał mu zaraz powierzyć szczęśliwie przedsięwziętych starań u króla. Niemniej łaskawe odebrał przywitanie mały chłopczyna, którego Nałęcz przedstawiał jako nieszczęśliwą sierotę, powierzoną jego opiece; dobre dziecię, jak gdyby wiedziało komu się powinno zasługiwać, wyciągało z ufnością rączki do Wierzynka. A gdy szafarz obwieścił obiadową godzinę, wprowadził Wierzynek przyjaciół do izby jadalnej. Stół w niej nakryty na sześć osób znać dawał, że oprócz przybyłych gości jeszcze się ktoś więcej znajduje, co z panem siada do stołu, a co większa, że wyłączone nakrycia były to dwa miejsca naczelne. Gospodarz przeżegnawszy dar Boży, posadził obok siebie Nałęczów i brał się do częstowania, gdy niespodzianie otworzyły się małe drzwiczki, niedostrzeżone w ścianie i ukazały wchodzącą do izby cudnej urody dziewicę, a za nią podeszłą niewiastę. Byłato piękna podgórzanka z swą ochmistrzynią, które niedawno widział Bronisław na pamiętnej Lelowa dolinie, gdzie lud biedny opatrywała. Nadobna Hanna w takiej samej białej sukni, przepasana błękitną wstęgą, z tem samem anielskiem spojrzeniem, miła i gładka jak wprzódy, zbliżywszy się do Wierzynka, podniosła z uszanowaniem jego rękę do swych ust różanych i skromnym ukłonem powitała Nałęczów. Wierzynek pocałował ją w czoło i gdy pozdrowił ochmistrzynię, zabrały obie zostawione sobie miejsca u stołu, a odtąd potrawy zaczynano od Hanny.

Są w życiu ludzkiem trafy szczęścia, lube marzenia cudem zmienione w prawdę, które im mniej spodziewane, tem dzielniej uderzając, w pierwszej chwili nic, prócz jakiegoś obłędu czuć niedozwalają. Bronisław uwierzywszy nakoniec swym oczom, że w jednem z Hanną znajduje się miejscu i długo w niem znajdować się będzie, niemogąc najżywszego uczucia pokonać, niewiedział, jak swój nieład ukryć potrafi. Szczęście, że między nim a Hanną posadzono małego chłopczyka. Miał on w dziecinnym swym wieku bardzo dobry apetyt, lecz niedołężny, niemogąc sobie zaradzić, potrzebował pomocy. Bronisław był jak najlepszej chęci w usłużeniu dziecięcia; lecz, czy mało obeznany z tym rodzajem zatrudnienia, niezręcznie to robił, czyli przez nagłe zjawienie się Hanny, pozbawiony przytomności, nie wiedział co czyni, tak się źle w swym obowiązku karmiciela sprawował, że już trzecie szło danie, a chłopczyk ledwo kilka razy w usta wziął pokarm. Z politowaniem patrzała na to Hanna i z cicha Wierzynkowi powierzała swe myśli.

— Młodzieńcze! — zabrał głos starzec — wiem, że dzielny z ciebie rycerz, ale Bóg widzi, zła niańka! Sam nic niejesz i chłopczyk twój głodny, a podobno już parę razy dobrze się z twej łaski oparzył. Ja ci radzę, proś twej sąsiadki, żeby cię uwolniła od tego kłopotu.

— Bardzo dobrze — rzekła Hanna z uśmiechem — jeżeli mi tylko waszmość pozwolisz, starać się go będę wyręczyć.

— Pani — odpowiedział młodzieniec, — opatrzność już cię niedopiero wybrała na wspomożycielkę nieszczęśliwych. Kiedyś tak łaskawa, czyń co sie podoba.

— Jeżli się nie mylę, — przerwała ochmistrzyni, zwracając mowę do Bronisława, — myśmy gdzieś waszmość niedawno widziały.

— Na dolinie lelowskiej — odpowiedział młodzieniec, -- tam ja i mój koń mieliśmy szczęcie zwrócić na siebie dobroczynny względ tej pani.

— Ala cóż, kiedy waszmość niczem sobie służyć nie pozwoliłeś — przerwała dziewica głosem wymówki.

— Owszem, przez cały czas używałem pociech niewymownych patrząc, jak ręka pani tysiące nieszczęśliwych w najszczęśliwszych zmieniała.

— Więc mieszkańcy Lelowa odbierali dary wasze, kiedy mój syn tamtędy przejeżdżał? — odezwał się Nałęcz, patrząc wzrokiem rozrzewnienia w oczy Wierzynka. — Gdyby on miał był dar przeczucia, pewnieby nietylko za siebie, ale i za konia swego był wdzięcznym. Znam ja dobrze okolice Lelowa, lud tam był niegdyś zamożny.

— Nieuwierzysz waszmość, jak wielka teraz tam nędza panuje. — przemówiła ochmistrzyni — żadnych śladów zagospodarowania! Gdybyśmy miały dziesięć bryk żywności, wszystkobyśmy były odrazu rozdały; — tłok był niezmierny, szkoda tylko ze deszcz nam z reszty dnia niedozwolił zkorzystać.

— Prawda, żeśmy trochę przemokły, — odezwała się wesoło dziewica — ale ten sam deszcz zrosił pola wieśniaków.

— Patrzcie, jaki mi z niej gospodarz! Dobrze, że król nie wie o twych znajomościach rolniczych, — rzekł uśmiechając się Wierzynek, — boby mi pewnie cię zabrał na pierwszego dóbr zawiadowcę.

— Drogi mój ojcze — korzystając z wesołego umysłu starca, zapytała dziewica — wiele mam jeszcze lasztów zboża u ciebie?

— Moja Hanno! — odpowiedział Wierzynek głosem znaczenia, — masz ich wiele chcesz, nie o zboże mi idzie, lecz o to, żebyś w twoich podróżach niedoznała jakiej przygody! Czasy teraz niepewne, codzień o rozbojach nowe wieści; ślub się twój dla włości lelowskiej już spełnił. A jeżli ci idzie o dobre uczynki, można do nich znaleźć i w domu sposobność. Ten, naprzykład sierotka — mówił, pokazując na chłopczynę, -- potrzebuje w swym wieku czułych koło siebie starań niewieścich; gdyby nasi przyjaciele pozwolili zająć się nim tobie, zastępując miejsce matki, i kształcąc na dobrego człowieka, równiebyś przed Bogiem zasługę odniosła.

— Ach, gdybym tylko była pewną, że to waszmościom nie uczyni przykrości... — odpowiedziała nieśmiało dziewica.

— Ja przeciw temu nic niemam, — odezwał się Nałęcz.

— I ja chętnie praw mych ustępuję, — dodał Bronisław.

— Ale chciejcież najprzód nas uwiadomić, jak się ten chłopczyk nazywa, — zapytała ochmistrzyni.

— Właśnie jestto okoliczność, o którą wypadło nam z głowy matki jego zapytać — odpowiedział Nałęcz.

— To rzecz najmniejsza — ponowił Wierzynek — będziemy go mogli tymczasem Bronisławkiem nazywać.

— Bardzo dobrze, niech będzie Bronisławkiem — powtórzyła Hanna, ściskając dziecię z radości.

Tymczasem obiad szedł porządkiem godnym czasów późniejszych. Usługa, potrawy i napoje były jak najlepsze; gospodarz bowiem, cudzoziemiec, mający bliskie stosunki z ludem zagranicznym, przytem możny i żyć dobrze lubiący, nietylko zwyczaje swiatlejszych narodów umiał w dom swój wprowadzić, lecz wiele przypraw kuchennych, nieznanych wcale polakom, upowszechnił na swoim stole.

Po skończonym obiedzie, gdy z miejsc ruszono, Hanna — odprawiwszy modły zwyczajne, udała się z innymi za Wierzynkiem do jego komnaty, gdzie z przyswojonym chłopczyną starała się starca rozrywać, kreśląc mu rys wychowania dziecięcia i to wszystko, co czynić dla niego zamierza.

Mały Bronisławek, jak gdyby rozumiał dobroczynne dla siebie chęci dziewicy, przywiązał się do niej duszą i ciałem. A gdy wkrótce Wierzynek zabierał się do powrotu do miasta, pożegnawszy go Nałęczowie, udali się do mieszkań wyznaczonych sobie. Zastał w swoim pokoju Bronisław przydanego do usług tego samego człowieka, który na dolinie lelowskiej przychodził do niego z polecenia Hanny; użył tej znajomości młodzieniec za powód bliższego dziewicy poznania, lecz nic więcej niemógł dowiedzieć się nad to, że od dzieciństwa z ochmistrzynią tu mieszka, że jeszcze ani razu nie była w Krakowie i wcale nie jest znaną w sąsiedztwie; jeżeli bowiem kto przyjeżdża w odwiedziny pana stolnika, Hanna wtenczas nie schodzi na dół — i przez cały czas pobytu gościa, u siebie na wieży zostaje. Ale za to — dodawał służą-

*) Dziś nieznana z nazwiska.

cy, okolice zamieszkałe przez nieszczęśliwych choćby najodleglejsze, dobrze ją znają, że jest litościwą, pobożną, wesołą, uprzejmą, — i lud ją nie inaczej, jak aniołem dobroci nazywa!«

Tymczasem, zaledwo Nałęczowie stanęli w swoim nowem schronieniu, gdy ich do Krakowa przybybie już było wiadome temu, którego się najbardziej lękali. Marszałek wielki, herbu Grzymała, stróż porządku w stolicy i kraju, podwójnie był dla nich strasznym: najprzód, jako najwyższy państwa urzędnik, sięgający bez odwołania mieczem na milę od królewskiego mieszkania, — powtóre, jako osobiście niemogący sprzyjać Nałęczom, był bowiem z linii prostej potomkiem tego dzielnego Grzymalczyka, który w obronie króla Przemysława życia nieszczędząc, w nadgrodę wierności, wyrokiem Łokietka, odziedziczył po spiskowych imiona lelowskie i te aż do czasów wielkiego marszałka, jego wnuka, w domu jego zostały.

Byłto mąż w pewnym już wieku, dobrze z dopełnionych obowiązków zalecony królowi — przyłożył się bowiem niemało do oczyszczenia kraju z łotrowstwa i gwałtów, które się były od czasów zaburzeń Łokietka znacznie zagęściły — a świeżo sprawionem do cesarza poselstwem na nową ufność zasłużył.

Otoczony mnóstwem krewnych i imienników, którzy garnąc się pod jego opiekę, polepszenia losu szukali, znajdował w nich często usłużnych urzędowi swemu pomocników.

Z pośród tej zgrai czuwającej wszędzie, jak wtenczas nazywano, marszałkowskiej czeladzi, umiał się panu swemu szczególniej podobać Truksa, dawny jego dworski, a pozostalec wygładzonych na Podlasiu Jadźwingów, któregośmy mieli sposobność widzieć u rozwalin Bolesławca, w towarzystwie białego pielgrzyma. Wiedział dobrze marszałek, jak mściwą on żądzą pała przeciw jego ziomkom i jak go cieszy każda sposobność dręczenia polaków; lecz znając w nim rzadkie zdatności śledzenia najtajniejszych zbrodni, najlepiej ukrywających się ich sprawców, przytem doświadczoną wierność i przywiązanie do swej osoby, nietylko go ciągle trzymał przy boku, lecz często do spraw najtajniejszych używał.

Już się czeladź marszałkowska, różnego stopnia i postaci, pod wieczorną godzinę rozwlekła po ulicach stolicy, zazierając w miejsca zabaw i schadzek, lub pilnując bezpieczeństwa kątów najmniej uczęszczanych, marszałek wielki, po dziennej pracy, w uciszonym dworze używał wczasu; twarz jego okazywała troski i niespokojność, gdy Truksa swoim zwyczajem, wszedłszy do pańskiej komnaty, czynił porządek między pismami rozłożonemi na stołach.

— Cóż tam słychać! — przerywając milczenie, zapytał marszałek.

— Król cały dzień był złego umysłu — odpowiedział powiernik głosem oznaczającym nielepsze jego usposobienie. — Z rana uszczwał dwa lisy i dość wesoły wracał na zamek; Bodzanta wszystko zachmurzył rozwodem; dopiero go ukochany jego niemiec z Naręczyna cokolwiek ożywił. — Ale to krótko trwało.

— Zawsze i wszędzie ten Wierzynek! — rzekł marszałek z niesmakiem. — Czy król widział się dziś z Rokiczaną?

— Musiał się widzieć, jadł obiad u królowej węgierskiej, przecież Rokiczana tam mieszka.

— Trzy dni, jak przyjechała, a króla trudno już poznać. Czy i moja bratowatam była?

— Niewiem — odpowiedział zimno Jadźwinga.

— Ty zawsze tego niewiesz, na czem mi najwięcej zależy.

— Ja zaś myślę, że wy panie, nie o to mię najczęściej pytacie, co was najbardziej obchodzić powinno, Ale niech i tak będzie. Bratowa wasza nie była dziś u królowej.

— Dobrze! A szukanie złoczyńców, którzy na Rokiczana napadli, jak też idzie?

— Jak trzeba. — Mam kilkunastu pojmanych w tej stronie, — którzy przyciśnieni, muszą mi dać języka.

— Chcę ich mieć koniecznie. Król mi o tym przypadku mówił z zagniewaniem; jam mu dał słowo, że ich dostawię, choć szczerze żałuję, że nie porwali tej czeszki!

— Więc myślisz, że moja bratowa obiadowała u siebie?

— Jeśli nie u pani krakowskiej.

— To być może. — Batory tam bywa, a ona ma nim głowę zajętą. Wiem ja, po co tu pani bratowa przyjechała; stara się majątek mężowski z pod mojej wydobyć opieki, żeby tem prędzej pójść za mąż. — Niewdzięczna! dreszcz mię śmiertelny przenika, kiedy pomyślę, że król, chcąc węgra pocieszyć, może się wdać w swaty i wyda ją za niego.

Johanna może pragnąć zostać księżną siedmiogrodzkę, lecz wątpię, żeby Batory chciał zamienić hrabiankę czeską na polską szlachciankę i do tego wdowę.

— Dodaj jeszcze z dziecięciem.

— Z dziecięciem, czy nie z dzieciąciem, to może tak dobrze jak niewchodzić w rachunek — odpowiedział zimno Truksa.

— Lecz wyznaj, Johanna choć wdowa i matka, niejestże bez porównania cudniejszą od Rokiczany?

— Ja tego głośno nie powiem. Ale czego się dręczyć, kiedy ja was zapewniam, że fortuna brata waszego już jest przy was na wieki. Raczej o tem trzeba pamiętać, żeby imion lelowskich nie stracić.

— Niemów mi o fortunie, kiedy kto inny rękę Johanny posiędzie! serce jej tylko może mię uszczęśliwić.

— Na to więcej cierpliwości trzeba, niż zachodów. Oto gorzej, że się Nałęczowie zjawili. Wierzynek wziął ich w opiekę i nietylko już w Naręczynie osadził, ale podobno i łaskę króla wyjednał, bo właśnie wyszły od podskarbiego rozkazy wzięcia na skarb zbóż Wierzynka w Gnieźnie i Kazimierzu złożonych. Ten niemiec nic darmo nie czyni.

—Królowi wolno brać zboże, ale niewolno stanowić o losie Nałęczów!

— Kazimierz najniepodobniejsze wykonywa rzeczy. Wszystko mu uchodzi. Moze nawet wrócić im Lelów.

— Więc jeźli ich podniesie z prochu, będzieto dzieło twojej opieszałości!

— Raczej szatańskiej nad nimi opieki — ponowił żywo dotknięty Truksa. — Ale Naręczyn nie jest jeszcze niezdobytym zamkiem!

— Ja po nich tam sięgać nie myślę! Gdybym teraz, po okazanej im życzliwości króla, chciał na ich życie nastawać, nietylkobym go słusznie na siebie obraził, lecz dałbym powód do mniemania, że się lękam, abym nie stracił imion, które po ich przodkach dziedziczę. Mnie nie jest straszną gadzina, której żądło wyrwano!

— Może i prędko jeszcze straszną stać się może, jeżeli jej głowy nie zgnieciem! Król obrażać się nie powinien przeciwieniem się temu, co czyni skrycie wbrew panu, tembardziej, że wywołani dają sami powód do wzięcia ich na gorącym uczynku! Wszakto wczora na Kleparzu, zajechawszy szumno z jakąś niewiastą na nocleg, napadli na żydów, i z towarów obedrzeć ich chcieli!

— Więc trzeba było ich pojmać i wyrok wykonać!

— Zapóźno odebrałem wiadomość!

— Dajże mi pokój z tymi nędzarzami, daruję ich tobie, rób z nimi, co ci się podoba, a staraj się lepiej o to, żebym dokładniej wiedział o zabiegach mojej bratowej.

— Dwa razy ród mi ten uszedł! — rzekł z cicha ożywiony Truksa — trzeci raz nie darmo sięgnę po niego! — I dokonawszy porządku na stołach, wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ XVIII.

Cóż to? jeszcze mi nie wierzysz?
Mierz więc, jeźli niemam wiary!
Lecz coć zabraknie do miary,
To mi twem życiem domierzysz!
Z ballady.

Sposób życia naszych wygnańców w Naręczynie, zapewniony od wpływu nieprzyjaciół, a ożywiony miłą nadzieją starań gospodarza, niezmiernie się podobał staremu Nałęczowi, lubiącemu pokój i uciszenie. Lecz Bronisław, w tej losu odmianie, nie życie pełne wygód i przyjemności, nie stan wolny trwogi i niebezpieczeństwa, ale tę słodką pewność cenił najwyżej, że jednem z Hanną oddycha powietrzem.

Ograniczoną wprawdzie była jego szczęśliwość, widywał ją tylko u stołu i to wtenczas, kiedy był Wierzynek obecny; w jego bowiem nieprzytomności Hanna u siebie jadała. Czasem ujrzał ją w oknie wieży, zatrudnioną igłą, lub spotkał przypadkiem chodzącą z Bronisiem po wałach, lecz prócz powitania i kilku słów obojętnych, więcej nie mógł rozmawiać, bo ochmistrzyni zaraz ją zabierała na wieżę. Czuł się jednakże najszczęśliwszym z ludzi — wiedział albowiem, iż jest jedynym, któremu wolno wielbić jej wdzięki i zyskać niekiedy jej spojrzenie!

W tych atoli spotkaniach, które umiał zapewne wynajdywać Bronisław i które może sama Hanna lubiła czasem pomnażać (surowe czytelniczki niech mi darują ten domysł!) — młody gość Naręczyna coraz żywiej zajmować zaczął piękną mieszkankę wieży. Wesołość jej i dowcip traciły zwolna dawną swobodę, dawną nieprzymuszoność, w uśmiechu nikła ta szczerość, która tak dobrze spokojną duszę maluje, głos jej przybierał jakąś nieokreśloną rzewność, a lekka bladość na twarzy i tęskność oka, czarodziejskim sposobem dopełniła tego tkliwego obrazu zmienionych jej wdzięków.

Czytał w nich swoje szczęście Bronisław. Naręczyn był dla niego światem, a obejście mieszkania zakresem jego przechadzek. Tu mógł zobaczyć Hannę, przy której o wszystkiem dzisiaj zapomniał.

(C. d. n.)

Ciekawe rzeczy.

Wojna i ceny zboża. W ciągu ostatniego czasu, w Stanach Zjednoczonych i w Europie ceny zboża wszelkiego rodzaju, a szczególniej pszenicy, doznały wielkiej zwyżki. Zwyżkę tę uzasadniają następujące okoliczności: Stany Zjednoczone miały wprawdzie w 1897 r. obfite żniwo, ale Europa, wobec słabego plonu w Indajch wschodnich i w Argentynie r. w 1896/97 i Rosji w 1897 r., zmuszona była powiększyć cyfrę zwykłego swego dowozu z Ameryki, skutkiem czego zapasy są tam obecnie trochę mniejsze, niż w r. z. Nawet olbrzymi wywóz Stanów Zjednoczonych nie zdołał państwom Europy zachodniej i środkowej wynagrodzić własnego ich niedoboru. Prócz tego, we Francji oczekiwano zniżenia cła, skutkiem czego w pierwszych siedmiu miesiącach zużyto wszystko zboże krajowe, ociągając się ze sprowadzeniem zboża obcego. Otóż odczuwając już od dwóch miesięcy brak towaru, Francja zmuszona była w końcu poczynić w Ameryce bardzo znaczne zakupy i zamówienia, które nie mogły pozostać bez wpływu na stan handlu wszechświatowego. W podobnej, choć nie tak pilnej potrzebie znalazły się Anglia, Niemcy, Holandja, Belgia i Austrja. Wszystkie te kraje potrzebowały i potrzebują znacznych ilości obcego zboża i w tej mierze głównie liczyć mogły tylko na Stany Zjednoczone. Także Niemcy sprowadzają już od lat kilku z Ameryki nietylko pszenicę, ale i coraz większe ilości mąki, kukurydzy, owsa i jęczmienia. — Otóż obawa, aby wojna nie spowodowała przerwy w komunikacji morskiej, skłoniła importerów europejskich do pośpiechu w zakupach czynionych w Ameryce, a to wywołało tamże znaczną zwyżkę cen. Dziś nie można jeszcze orzec stanowczo, o ile podczas wojny ruch ładunków zbożowych będzie utrudniony, lub zatamowany. Poważnych zakłóceń doznałby handel bądź co bądź, gdyby Hiszpanii udało się dokonać blokady kilku portów Stanów Zjednoczonych, całkowite jednak przerwanie komunikacji z Europą utrzymywanej przez okręty neutralne, będzie rzeczą niewykonalną.

Ile jest języków na świecie. Według obliczenia jednego z geografów francuskich, na świecie istnieje 860 języków i około 540 djalektów. Na Europę przypada 89 języków, na Afrykę 114, na Azję 193, na Amerykę 417, a na Australię 117. Na wielu małych wyspach

australskich mówią takim językiem. którego mieszkańcy najbliższych wysepek najzupełniej nie rozumieją i ze swymi sąsiadami porozumiewają się tylko na migi.

Chemia i dramaturgja. Jakiś dowcipniś utwory sceniczne z ostatniej doby porównywa z chemią i dowodzi, że komedje, farsy, melodramaty i dramaty, są wielce zbliżone do różnych połączonych związków chemicznych. I tak H_2SO — czyli dwie części wodoru, jedna część siarki i jedna kwasorodu, prawie to samo, co w utworach scenicznych: dwie części wody, jedna soli i jedna humoru — to komedja; cztery części wody, dwie soli i trzy tłuszczu — to farsa. Melodramat wymaga sporo mieszaniny ognia bengalskiego łez, dramat zaś — pięć uncyj krwi, dwa celne strzały itd.

Jubileusz szala. W r. 1798, a więc lat temu sto, po raz pierwszy ukazały się w Paryżu, tak dziś rozpowszechnione szale kaszmirowe. Z początku nie miały one powodzenia. Bonaparte posłał kilka szalów żonie swej Józefinie, a ta pisała mu, że bez względu na wysoką cenę, uważa je za brzydkie. Jedynym ich przymiotem miała być lekkość. Wszystkie panie zgadzały się na to zdanie, mimo to wszakże coraz częściej przystrajały się w egzotyczną tkaninę. Powoli wyrodziła się istna namiętność do szalów. Gdy Józefina wróciła do Nawary, posiadała już 150 szalów kaszmirowych, z których najtańszy kosztował 15.000 franków.

Hierarchja katolicka. Statystyka tegoroczna przedstawia się w następujący sposób: Po Ojcu św. Leonie XIII i Kolegium kardynalskiem dnia 1 stycznia 1898 r.. kościół katolicki miał: 10 patrjarchów, 842 arcybiskupów i biskupów djecezjalnych obrz. łaciń, 57 arcyb. i bisk. obrz. greck., 14 biskupów obrządków wschodnich, 347 arcyb. i biskupów tytularnych, czyli nie posiadających właściwej obecnie istniejącej djecezyi, 7 arcyb. i biskupów bez tytułu, 8 biskupów nullius dioeceseos. Razem wziętych 1285 dostojników kościoła katolickiego. Z tej liczby ustanowił Leon XIII 2 patrjarchów (Indje wschodnie i Aleksandrję w Egipcie); 30 arcyb., 97 nowych stolic biskupich, dwa opactwa nullius, 2 delegatury apostolskie, 59 wikarjatów apostolskich i 26 nowych apostolskich prefektur. Ogółem biorąc, kościół katolicki pod prawdziwie wielkimi rządami Leona XIII, wzrósł o 218 stolic, na których zasiadają książęta i wodzowie ludu wybranego — pasterze owczarni Chrystusowej. I to się dzieje w czasie największego ucisku Kościoła, papieztwa i wiary.

Deszcz pyłu. W lutym r. b. bardzo obfity deszcz pyłu opadł na wodach Atlantyku południowego, na Zachód Afryki. Parowiec »Roslyn Castle«, jak donosi »Nature«, napotkał tę chmurę i naprzestrzeni 1.200 klm. podkład jego wciąż był pyłem zasypywany. Kurz tak gęsto się unosił, że tworzył nieprzerwaną mgłę, był zaś złożony z nader drobnych płytek kwarcu i czarnej miki. Nie znaleziono w nim zgoła cząstek zeszklonych, ani żadnych innych śladów pochodzenia wulkanicznego, a według wszelkiego prawdopodobieństwa pochodził on z pustyni Sahary. W tym czasie srożyły się burze Algierji, być więc może. że one to uniosły ten obłok piaszczysty. Znane są zresztą przykłady przenoszenia piasku na odległości znaczniejsze jeszcze; deszcze pyłu pochodzącego z Sahary spadały na wyspach Kanaryjskich, a dochodziły nawet do Bulogne sur mer.

Maszyny do pisania. Znakomity uczony włoski prof. Bizzozero ogłosił w »Nuova Antologia«, pracę o znaczeniu hygienicznem maszyn do pisania. Z obszernego sprawozdania, w »Giornale delle Soc. Ital. d'Igiene« ogłoszonego, podajemy następujące szczegóły. Maszyny do pisania są dwojakiego typu: o czcionkach ruchomych, podnoszonych drążkami za naciśnięciem i o czcionkach stałych, umieszczonych na ruchomym cylindrze. Pierwsze dzielą się na : przyrządy o piśmie widocznem (William, New Franklin Daugberty, i niewidocznem (Remigton, Caligraph, Jort); drugie są systemu Dactyle i systemu Nammond.

Pisanie w zwykły sposób jak wiadomo, połączone bywa z wadliwem położeniem ciała, ugniataniem klatki piersiowej, zagraża w pewnych warunkach zboczeniem kręgosłupa i zburzeniem wzrokowem, a nadto wywołuje częstokroć skurcz pisarski. Dziś pisanie za pomocą maszyny, przy którem koniecznie trzeba zachowywać postawę prostą, czcionki są duże i wyraźne, niebezpieczeństwo skurczu pisarskiego nie istnieje, jest pod względem hygienicznym niezrównanie lepszem, nadto z powodu szybkości pisania (do 11·5 liter na sekundę, czyli około 3.000 na 5 minut) oszczędza się połowę czasu na ewentualny odpoczynek (nie mówiąc o jednoczesnem odbiciu kilku egzemplarzy). W ciągu tygodnia dochodzi wprawa już do zrównania szybkości pisania ze zwykłym sposobem Dla dotkniętych kurczem pisarskim maszyna stanowi tedy niejako środek leczniczy. Jedyną przeszkodą upowszechnienia jej dotychczas jest zbyt wysoka cena, ale i ta prawdopodobnie z powodu rozwijającej się konkurencji spadnie.

Wieczór u doktora Coxa.

Opowiadanie

Juliusza Claretie.

(Z francuskiego).

(Dokończenie patrz. Nr. 14).

Znalazłem nareszcie kapelusz i skierowałem się w tę stronę, z której dochodziło mnie wołanie. Czy jednak głos nieszczęsnego słabł stopniowo, czy zagłuszała go gęstwina drzew, które okrążałem, dość, że jęki biednego szaleńca stawały się coraz cichszymi, a w końcu ucichły zupełnie. Milczenie zaległo wokoło, nie słyszałem już nic i nie widziałem nic wokoło. I żal mi było tego rozdzierającego serce wołania, tego bezbrzeżnego smutku i powtarzanego bez przerwy jednego i tego samego imienia. Cisza przerażała mnie poprostu.

Instynktownie chwyciłem się teraz myśli: uciekać, uciekać stąd jaknajprędzej! Miałem jeszcze świeżo w pamięci, jakie męczarnie przechodziłem w dusznej sali, jak mnie dręczyła klaustrofobia. Dzięki Bogu! mogę się jeszcze poruszać, dalej więc przed siebie! Czułem się teraz uwolnionym z pod ucisku ścian komnaty, chłodne powietrze nocne orzeźwiło me zmysły, lecz nie uszedłem nawet dziesięciu kroków, gdy na widok czarnych, niewyraźnych zarysów drzew i gąszczów, uczułem znowu, że tracę swobodę, a gnębiące to uczucie potęgowała teraz jeszcze ta okoliczność, że nie mogłem znaleść drogi. Noc była ciemna, jak w zimie. Zdjęła mnie obawa, abym nie wpadł na jaki pień drzewa, albo, co gorsza — aczkolwiek przypuszczenie to nie licowało wcale z moim nastrojem — na jakąś żywą istotę, na obłąkanego, który wyrwał się z pod straży, na psa łańcuchowego i w ogóle na jakąś nieznaną mi, a niebezpieczną przeszkodę.

Chmury, wichrzące się na niebie, zakryły zupełnie światło. Wśród głębokich ciemności, widać było tylko na widnokręgu niewyraźną czerwonawą smugę, jakby łunę odległego pożaru. Był to ognisty oddech wielkiego miasta, odblask świateł londyńskich. Światło przebijające się przez ciemności przerażało mnie, przypominając odblask pożarów nocnych, lecz równocześnie jedyny ten objaw życia, to światło gazu i elektryczności, te oddalone ognie miasta, uspokajały mnie i ciągnęły ku sobie wśród przygnębiających wrażeń martwego parku.

Zabłądziłem niewątpliwie, posuwając się coraz dalej w głąb parku, zamiast zwrócić się ku ogniom wybrzeżnym, których odbicie ukrywało się zapewne przed mym wzrokiem za gęstemi drzewami. Słaby ten odblask Londynu, przywiódł mi jednak na pamięć ową widzianą z okna latarnię gazową, z której pomocą mogę i muszę znaleść wyjście.

Począłem więc znowu szukać drogi w tym labiryncie, w którym nic dojrzeć nie mogłem. Chodziłem wstecz i przed siebie po skrzypiącym pod nogami piasku, uderzałem o jakieś słupki, wpadałem na opłotki i wytężałem wzrok w ciemności. Nareszcie zacząłem rozróżniać niewyraźnie jakieś świecenie, jakby przedzierający się przez liście blask wielkiego ogniska. Było to prawdopodobnie oświecone wybrzeże.

Skierowałem się ku niemu z niecierpliwością i trwogą zbiegłego skazańca. Wolność! Wolność zapowiadało mi to światełko, drobny ten ognik. Usiłowałem skrócić sobie drogę, więc szedłem prosto, łamiąc gałęzie krzewów i kalecząc sobie ręce. Bądź co bądź, szedłem wciąż naprzód. Ze wszech stron otaczała mnie groza, zdawało mi się, że wpadłem do lochu więziennego, w którym ustawiczne jęki skazanców: »Gabrjelo! Pójdź do mnie!« milkły nagle pod ciosami wstrząsającego dramatu i ciężkich katuszy.

Dotrzeć raz nareszcie do światła! Zobaczyć sztachety! Przeskoczyć przez nie! Dlaczego nie? Jestem już coraz bliżej. Oto latarnia gazowa. Tam muszą być sztachety. A za niemi znajduje się już tylko niewidzialna teraz Tamiza.

— Ocalony! — rzekłem do siebie.

Taki jednak zamęt panował w mych myślach, że pozostał mi tylko instynkt zachowawczy ściganego zwierzęcia. Zamiast bowiem trzymać się sztachet i idąc wzdłuż nich dotrzeć do odźwiernego, myślałem o tem tylko, jakby przeskoczyć przez parkan i taką drogą dostać się na drugą stronę. Tak, tak, byłem bliski obłędu!

— Trzeba spróbować — powiedziałem tak donośnie, że przestraszyłem się własnego głosu. W tejże chwili usłyszałem nagle za sobą czyjeś kroki. Odwróciłem się i włosy stanęły mi na głowie; w przeświadczeniu, że jestem ścigany przez jakiego obłąkanego, krzyknąłem ile miałem mocy:

— Kto tam?

Jakaś ręka chwyciła mnie za kołnierz, druga spoczęła ciężko na lewem ramieniu i czyjś głos zapytał mnie po angielsku:

— Dokąd to?

Zrozumiałem wszystko i chciałem odpowiedzieć, lecz czy to wskutek nagłej utraty pamięci, czy też, o ile przypuszczam, pod wpływem częściowego paraliżu mózgu, nie mogłem zdobyć się ani na jedno słowo w języku angielskim, którym władam dość biegle. Jeszcze jeden dziwniejszy szczegół: nie mogłem znaleść żadnego słowa angielskiego, a mimo to walczyłem uparcie z pamięcią, aby odpowiedzieć koniecznie w języku angielskim Ale i w tej części mózgu mojego nie mogłem nic znaleść. Byłem w położeniu człowieka, który stawia nogę na pierwszy stopień znanych sobie dobrze schodów i zamiast stopnia znajduje pustą przestrzeń.

Wszystkie myśli, które analizuję tak długo, przebiegły mi teraz przez głowę z błyskawiczną szybkością; nie dłużej może, niż w pół sekundy mignęło tysiące myśli, podobnie jak we śnie, gdy całe pasmo życia rozwija się kalejdoskopowo w ciągu jednej minuty, albo jak w chwili zgonu, która stawia nam przed oczy całą przeszłość ze wszystkiemi, najdrobniejszemi jej szczegółami. »Skończyło się wszystko — powiedziałem do siebie z rozpaczą. — Straciłem pamięć. Nie umiem już mówić po angielsku, może zapomniałem nawet swego imienia. Straciłem najwidoczniej zmysły. Nie jestem już sobą. Przyszedł obłęd!“

Zdziwiony byłem jednakże, iż mogę jeszcze tak jasno zdawać sobie sprawę ze swego stanu i to w tem przerażeniu moralnem, gdyż człowiek trzymający mnie za kołnierz, nie przestraszał mnie zgoła.

— Stój, stary! Co za licho cię tu przyniosło? — powtórzył, trzęsąc mną w dalszym ciągu.

Domyśliłem się, że był to ktoś z podwładnych doktora Coxa, prawdopodobnie posługacz szpitalny, miał bowiem na sobie biały, długi fartuch.

Pod tym względem nabrałem już zupełnej pewności, gdy ironicznym zlekka tonem odezwał się do mnie:

— To tak! chciało się użyć przechadzki w polu?... Chciało się nas przestraszyć? No, wracajmy zaraz do siebie i bądźmy spokojni. Niewolno ztąd wychodzić, kochany sir Henryku Nortonie! niewolno wychodzić!

Zdobyłem się na nieludzki wysiłek i przypomniawszy sobie nagle całą moją wiedzę angielską, odpowiedziałem — nie — krzyknąłem:

— Ależ ja nie jestem Nortonem. Jestem tu gościem! Doktor Cox! Gdzie jest doktor Cox?

Człowiek nie odpowiadał wcale, ale czułem, że trzyma mnie coraz słabiej, aż wreszcie słyszę, jak zwraca się do mnie

już nie po angielsku, lecz po francusku, ze słowami:

— Kto pan jesteś?

Skoro wymieniłem mu naswisko, puścił mnie zupełnie i krzyknął, jak krzyczy człowiek zmieszany i przerażony, jak człowiek, który dowiaduje się z osłupieniem, o jakiemś fatalnem swem wykroczeniu.

— To pan może wręczył mi swój bilet wizytowy?

— Dla doktora Coxa? Tak, ja!

— To ja pana zaprowadziłem do poczekalni?

— Do wielkiej sali, w której stał fortepian..

Nie zapomnę nigdy desperackiego tonu, jakim brzmiała jego odpowiedź:

— Jaki ze mnie głupiec! jaki idjota! Zapomniałem o panu!

— Zapomniałeś pan?

— Nie oddałem biletu pańskiego doktorowi Cox. Zawołali mnie do pomocy do chorego, na którego przyszedł atak. Furjat! Atak trwał tak długo... a gdy się to już skończyło, bilet pański... Ach! panie, co powie doktor? Tracę pamięć... Naprawdę zapominam o wszystkiem. Tak to być razem z warjatami! Ale, czy pan istotnie jest tym samym gościem, który wręczył mi bilet?

— Zbliż się do latarni i przypatrz mi się lepiej!

Służący popatrzył i stracił zupełnie fantazję.

— Najmocniej pana przepraszam — mówił dalej akcentem angielskim. — Boże, co czynić, co czynić teraz, jak naprawić, co się stało?

— Bardzo prosto. Otwórz mi drzwi i wypuść mnie.

— Proszę, proszę pana?

I wskazał mi drogę.

Tak się spieszyłem, tak mi było pilno uczuć się wolnym, że nie chciałem już robić wymówek temu niegodziwcowi. Szkoda czasu! Byle dostać się, jak najprędzej do drzwi, do sztachet i na wybrzeże... Za możność szybszego stąd wyjścia, dałbym chętnie funt szterling temu bałwanowi, zamiast rozprawić się z nim tak, jak zasługiwał.

Prowadził mnie ścieżkami, usprawiedliwiając się nieustannie po drodze i zaklinając mnie, abym nie wydał go przed doktorem. Jeżeli straci miejsce, żonę i dzieci, czeka go głód i nędza!

— Nie, nie powiem, przyrzekam ci to.

Uczułem w ciemnościach, że usiłował pochwycić mą rękę, aby ją pocałować. Dotknięcie tej ręki, która trzymała mnie przez chwilę, było dla mnie tak nieprzyjemne, że omal nie uskoczyłem na stronę.

Zbliżyliśmy się nareszcie do drzwi, których próg przestąpiłem o zmierzchu.

— Wszakże to był Albert Seemes, ten chory, który krzyczał i wzywał do siebie Gabrjeli? Wszakże się nie mylę?

Służący zniżonym głosem odparł:

— Tak, to był pan Seemes. — I dodał: — Już teraz nie będzie przywoływał nikogo. Był to ostatni atak, po którym zaczęła się agonja. Może pan chce go zobaczyć?

Przyznaję się ze wstydem, że odpowiedziałem przecząco. Przerażała mnie myśl powrotu, perspektywa znalezienia się znowu w domu doktora Coxa i odczuwania znów na sobie przygniatającego brzemienia stropów posępnego domu. Dodałem tylko: „Odwiedzę go jutro“.

Nie zapomnę nigdy tonu, jakim służący powtórzył za mną: „O, jutro!“

Otworzył drzwi. Rzuciłem się za sztachety i odetchnąłem całą piersią, jak ktoś, trzymany długo w zatrutej atmosferze. Spoglądałem na Tamizę, która płynęła ciemną, jak niebo wstęgą, o kilka zaledwie kroków. Latarnie gazowe paliły się z rzadka na wybrzeżu. O sto kroków odemnie widać było szeregi oświetlonych okien mieszkań, gdzie teraz zapewne rozmawiano spokojnie. Oszołomiony byłem, spotkawszy się nagle oko w oko z bijącą silnie falą życia. Zadawałem sobie pytanie, czy snem były straszne chwile, które dopiero co przeżyłem, czy przeciwnie, snem tylko jest to wszystko, na co teraz patrzę.

Co znaczy oświetlenie tych domów? co znaczą światła w oknach? Alboż nie spędziłem długich godzin, całej nocy, u doktora Coxa?

Która to jednak godzina? Spojrzałem przy świetle gazu na zegarek. Wskazywał dziesięć minut po dziesiątej.

A zatem, zaledwie trzy godziny upłynęły od chwili, w której wchodziłem do domu obłąkanych.

Trzy godziny! Ile myśli, niepokojów, smutku i grozy zawarły w sobie te trzy godziny! Dopiero dziesiąta! Mógłbym jeszcze zdążyć do Londynu na ostatnią odsłonę szekspirowskiego „Henryka VIII.“ i widzieć Irvinga, lub wysłuchać końca „Pajaców“ w Covent-Gardenie. Życie wrzało potężną falą pod zalanem łuną sklepieniem niebios, pokrywającem Londyn, tę kuźnię z olbrzymim piecem, w którym przewalały się tłumy...

— Fabryka obłąkanych! — pomyślałem.

I obróciwszy się ku mieszkaniu doktora Coxa, usiłowałem po raz ostatni przypatrzeć się domowi, w którym gasł samotnie opuszczony przez wszystkich, pokonany życiem biedny Albert Seemes, ongi przywódca zabaw i rozrywek.

Nie zobaczyłem go już nigdy. Przywiozłem jednak z Londynu i położyłem na mogile ulubione jego kwiaty: chryzantemy i gardenie.

Teatr — literatura — sztuka.

† Dotkliwą stratę poniosła sztuka polska. Zmarł śp. Ryszard Ruszkowski w najsilniejszych latach męskich, bo przeżył zaledwie czterdzieści kilka. Strata ta dotyka najbardziej teatr lwowski, którego śp. Ruszkowski był wydatną siłą i ozdobą. W rolach silnie charakterystycznych i to w różnorodnym kierunku i różnolitej barwy, Ruszkowski talentem swoim zajął bardzo wybitne stanowisko. Na scenie lwowskiej pracował blisko lat dwadzieścia, a pochodził z Warszawy gdzie ojciec jego był kupcem i w r. 1863 wywieziony na Sybir już nigdy ztamtąd nie powrócił, a nawet słuch o nim zaginął. Zamęczyli gdzieś moskale polskiego patrjotę...

Jako autor dramatyczny śp. Ruszkowki pozyskał rozgłos napisaniem szeregu wesołych krotochwil, do których treść brał z życia rodzinnego patrząc się na nie pogodnie i pobłażliwie.

Osierocił młodą żonę, z domu Zboińską i jednorocznego synka. Śmierć śp. Ryszarda Ruszkowskiego okrywa żałobą rodziny Niemojowskich i Ungrów — żony bowiem ich, są rodzonemi siostrami zmarłego. Niechże mu ta ziemia polska będzie lekką, dla której talentem swoim zacnie i pożytecznie pracował!...

Mimo, że p. Świeżawskiego *Ćmy nocne* przedstawione u nas po raz pierwszy, są tylko jednoaktowym i do tego grubo węglem smarowanym dramatem, mimo patosowej rezonerji zwykłej u początkujących pisarzy, którym się zdaje, że ludzie na scenie powinni mówić inaczej, jak w życiu, mimoto wszystko, p. Świeżawski tą swoją pierwociną autorską wysunął się na same czoło obecnego sezonu teatralnego, naturalnie oryginalnego, bo okazał się prawdziwym talentem. Jego *Ćmy nocne* są dobrą zapowiedzią. Autor powinien napisać wkrótce coś dużego i coś pięknego. Stać go na to. Dobrze odegrano te *Ćmy nocne*, choć się wiele rzeczy rozprysnąć musiało w epizodach. Doskonale pazedewszystkiem grał »andrusa«, wypuszczonego z więzienia p. Nowacki. Rzewnie i dramatycznie odegrał p. Wysocki rolę bohatera »poezji czynu«. P. Wostrowski dobrze rezonował, bo mu tak kazał autor. Więcej nie było co grać, choć osób występowało jeszcze kilka.

Tego samego wieczoru widzieliśmy po raz pierwszy jednoaktową komedyjkę p. Bojana pt. *Poczciwiec*. Jestto sympatycznie i bezpretensjonalnie napisany obrazek ż życia codziennego, który dobrze i z werwą odegrali pp. Gostyńska, Cichocka, Chmielińska, Feldman, Wostrowski, Nowacki i Kwiatkiewicz. P. Połęcka w roli naiwnego podlotka, grała za krzykliwie i w ogóle powinna się postarać utemperować swoją dykcję, bo popędliwość jej, ani jest artystyczną, ani estetyczną.

Zaraz na trzeci dzień, dyrekcja pospieszyła z nową „premierą“, tłómaczoną z niemieckiego, p. t. *Kasia*. Napisał ją Burkhardt, niedawno jeszcze dyrektor, czy intendent, nadwornego teatru w Wiedniu. Sztuka nie bez pewnych zalet — jest właściwie melodramatem, choć się bez efektów muzycznych i śpiewnych zupełnie obywa. Za to nie obyło się bez szpitala, w którym bohaterka, wprawdzie, nie kończy swojego żywota, ale przywędrowała tam po ciężkim przejściu w życiu. Sztuka kończy się dobrze, bo pogodzeniem kochanków, co się właśnie odbywa w szpitalu, w obecności lekakarza, zaręczającego nawet, że Kasia wyzdrowieje. W Wiedniu, taka sztuka może się podobać, bo posiada pewną barwę obyczajową lokalną — u nas nie bardzo, a taka panna wpraszająca się za żonę młodemu człowiekowi, zapewne wśród niemców wywołuje cielęce zachwyty, u nas z tkliwych wynurzeń panny Malci, czy jak się tam nazywa, drwiąco śmiała się publiczność. *Kasia* posiada małą wartość literacką, ale jako utwór sceniczny zrobione jest dobrze, chociaż bez szpitala mogłoby się obejść.

Na pierwszy plan grą pełną ciepła i dramatycznego podkładu, wysunął się w roli Franciszka, p. Wostrowski. Bardzo sympatycznie grała tytułową rolę p. Bednarzewska. P. Feldmann, jak zwykle, przedziwnym swoim humorem rozweselał publiczność, równie, jak p. Gostyńska, przewyborną grą charakterystyczną, Inne role dobrze i starannie odegrali pp. Cichocka, Rybicka, Modzelewska, Jaworski i Jednowski.

Nietensam.

W piątek (13 b. m.) na lwowskiej scenie wystąpiła „Lutnia“ z koncertem, na którym odśpiewała kompozycję Brucha: »Frithjof«, osnutą na bajce skandynawskiej Tegnera, złożona z 6 części. Karne i znakomicie wyćwiczone chóry „Lutni“, imponowały swoją jednolitością. Pięknym barytonem odśpiewał solo (Frithjofa) p. Grabiński, a sopranowe solo śpiewała (Jugenberg) p. Chulawska. Wszystko było ładnie, tylko publiczność zebrała się tak nielicznie, że na scenie było więcej lutnistów, jak w krzesłach słuchaczy. Dziwić się temu nie trzeba, skoro wśród dekoracyj majowych, słowiki dają koncerta, przy których można.. jeść raki...

Omega.

Nowalijkę dał nam w sobotę (14 b. m.) Bałucki. Jest nią 1-aktowa komedja: *Po teatrze*, rzecz napisana żywo i z humorem, którą doskonale odegrali pp. Feldman, Kwiecińska, Jankowska i Rybicka.

Tego samego wieczora dano po raz pierwszy 1-aktowy dramat z angielskiego tłomaczony: *Mistrz Paryża*. Złożyło się na niego aż literackie małżeństwo, bo pani Ramsey i p. Lordory. »Mistrz Paryża«, to po prostu kat, a jak taki pan ma córkę, albo żonę i do tego ładne, nie trudno sobie wyobrazić, co się stać może zwłaszcza, gdy się tam zapruszy młody człowiek, prócz kochania nie mający nic do roboty w życiu. W dramacie tym p. Siennicka i p. Wostrowski mieli sposobność do silniejszego zaakcentowania gry: pierwsza w roli nadobnej Hyacenty, drugi, jako ognisty Henryk. Towarzyszyli im statecznie pp. Gostyńska i Jaworski: pierwsza była Lizettą, drugi Delpit'em. — Tłomaczenia dokonała poprawnie, p. Morska-Popławska.

Nietcnsam.

Nareszcie doczekaliśmy się cenzuralnej rekabilitacji dla konkursowej sztuki: *Kraj*. Stosunki nasze musnął rys charakterystyczny. Sąd konkursowy, a więc obywatelski, nagradza sztukę, sąd cenzury rządowej, zabrania ją grać... Próbowano otworzyć zamek cenzuralny, ale napróżno. Dopiero dzisiejsza dyrekcja, mimo, że jej raz odmówiono, za wygrane nie dała i kołatała dopóty, dopóki zakaz cenzuralny obalony nie został. Jak się to stało — mniejsza o to, dość, że całkowita zasługa należy się dyrekcji pp. Bandrowskiego i Hellera.

A więc w ubiegły poniedziałek, odegrano *Kraj* na lwowskiej scenie po raz pierwszy. Na dzisiejsze, tak nazwane »ugodowe« czasy, jest to sztuka nader odpowiednia, a ponieważ napisał ją jeden z najbardziej utalentowanych autorów polskich, znający przytem wybornie stosunki w Kongresówce i, w ogóle, pod rządem

rosyjskim, więc w *Kraju* mamy wierny obraz tego, co się tam dzieje w zakresie mordowania i nękania naszego ducha narodowego. Wprawdzie, od napisania i nagrodzenia *Kraju* minęło lat sześć i jak dziś, niby stosunki tamtejsze miały się zmienić, ale biorąc rzeczy gruntownie, właściwie zmieniły się tylko środki, cel jednak rządu rosyjskiego pozostał ten sam. Cała filozofja polityczna zasadza się na tem, że rząd rosyjski zniszczyć nas nie może i nie zniszczy, ale ciągle myśli o tem, aby nas pod względem narodowym osłabiać i przeszkadzać normalnemu rozwojowi naszego ducha i mocy społecznej. To *Kraj* przedstawia i autor mówi w nim świętą prawdę, a mówi z siłą argumentacyjną i z wielką miłością dla swego narodu.

Pod względem literackim, *Kraj* posiada wysoką wartość — pod względem artystycznym mniejszą dlatego, że rezonerstwa, którego nadmiaru sztuka sceniczna nie znosi, *Kraj* posiada za wiele. *Kraj* jest sztuką tendencyjnie polityczną, a jako taki utwór, ma swoje odrębne prawa i cele, przed którymi artystyczność ustąpić musi i powinna. To, co się mówi w *Kraju*, odbija się echem prawdy od każdego sumienia polskiego. Mimo pewnych, powierzchownych zresztą ulg, nic nie zaszło dzisiaj pod rządem rosyjskim takiego, aby w *Kraju* znalazł się choćby najdrobniejszy anachronizm. Autor mógł tę sztukę dziś napisać i dziś to samo w niej powiedzieć, co powiedział przed sześciu laty, a również będzie aktualną prawdą.

Obsada sztuki obszerna, ale epizodów w niej dosyć, choć niemal każdy stanowi dobitną ilustrację tła, lub tendencji. Nie posługugując się zdawkowym frazesem, zaznaczyć należy, że gra, w ogóle, *Kraju*, na naszej scenie, nie pozostawia nic do życzenia równie, jak i to wszystko, co dotyczy wystawy z resztą, salonowej, sposobu aranżowania scen i całej reżyserji.

Tak zaznaczywszy grę artystów, która jest co się zowie doskonałą z pewnymi małymi wyjątkami, — wymienić nam tylko wypada, że role główne grają pp. Cichocka (Błońska), Żelazowska (Leszycka), Gostyńska (Trzęsiewiczowa), Żelazowski (Władysław Błoński), Feldman (Józef Błoński), Chmieliński (Leszynskoj), Hierowski (Tadeusz Leszycki), Wostrowski (Jan Błoński) i mniejsze pp. Walewski, (Pastelkowicz), Jaworski (Zmirski), Kwiatkiewicz (Bilski), Połęcka (Wanda); w małych epizodach wyróżnili się pp. Wysocki (lokaj 2 gi), Jednowski (Krzecki) i Preisner (Mirstein).

Nietensam.

»Czytelnia polska« w Krakowie, jako 7 i 8 tom, wydała obecnie *Szkice z Anglji Sewera.* I tym razem, jak zawsze, wybór uczyniony przez »Czytelnię«, jest bardzo szczęśliwy, interesująca ta praca bowiem, w handlu księgarskim jest wyczerpana. Bardzo słusznie powiada Sewer w przedmowie, że niełatwą jest rzeczą pochwycić i odwzorować naród, którego charakter i temperament jest tak zasadniczo różny od naszego. Talent Sewera przezwyciężył wszelkie trudności. *Szkice* są przedmiotem bezstronnej obserwacji i wyczerpują nieomal cały przedmiot. Podnieść przytem należy lekką formę, w jaką autor ubrał swoje dzieło. Każda stronica nietylko interesująca, ale i uczy. Co ważniejsze, że autor aczkolwiek sympatycznie wsposobiony dla anglików, w poglądach swoich nie kieruje się nigdy osobistemi sympatjami. Ztąd książka cała i poglądy w niej zawarte są przedewszystkiem trzeźwe, a ta właśnie trzeźwość jest bardzo wielką zaletą.

P.

Odezwa.

Istniejące od dwuunastu lat we Lwowie Towarzystwo im. Adama Mickiewicza gromadzi w swej bibliotece wszystko, co w jakimkolwiek pozostaje stosunku do dzieł i żywota naszego nieśmiertelnego poety. Ponieważ jednak Towarzystwo rozporządza tylko skromnymi funduszami a bieżący rok jubileoszowy przyniósł już i przyniesie jeszcze niewątpliwie sporą wiązankę przeróżnych pism i artykułów, działalności i czci Mickiewicza poświęconych, przeto w imieniu Towarzystwa apelując do patrjotyzmu rodaków, zwłaszcza pp. redaktorów pism polskich prosimy, by wszystkie tego rodzaju dzieła, broszury artykuły i programy obchodów, choćby tylko przygodne, zechcieli przysełać do biblioteki towarzystwa na ręce jego bibliotekarza: dr. Kornela Hecka we Lwowie ul. Sapiehy l. 21 (lub gimnazjum IV.). Ufamy, że szanowni rodacy zrozumieją ważność podobnego zbioru i niezechcą pozwolić, aby te rozproszone objawy czci dla twórcy »Pana Tadeusza« zaginęły bezpowrotnie dla przyszłych naszych pokoleń.

Redakcje wszystkich pism polskich, gdzie kolwiek wychodzących, upraszamy o łaskawe przedrukowanie niniejszej odezwy.

Z Wydziału Towarzystwa im. Adama Mickiewicza.

Pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Prędkie i chciwe chlipanie mleka jest dla cieląt karmionych ze szkopka bardzo szkodliwem. Gdyby o tem wiedziały gospodynie, nie cieszyłyby się z tego, gdy widzą, że cielę podstawione mu mleko, lub inne picie chciwe i łapczywie pije. Sama przyroda daje nam w tym względzie wskazówki, bo przecież młode ciele mleka matczynego nie łyka chciwie, jeno wprowadza je do swego organizmu w małych łykach, ssąc je z piersi matki. Pomijając już to, że cielę, łykając chciwie mleko, nabawić się może zabójczej biegunki, wiemy, że wolne pojenie jest poprostu nieodzownym warunkiem dla zdrowia cielęcia wogóle. Przy wolnem połykaniu dostaje się mleko cewką gardzielową do trzeciego żołądka (ksiąg), a stąd przechodzi do żołądka czwartego (trawieńca), gdzie się odbywa, jak sama nazwa tej częsci żołądka wskazuje trawienie składników biatkowatych, najcenniejszych i właściwie odżywczych. Gdy cielę chciwie pije, wprowadza do gardzieli wielką ilość mleka; ta wielka nieraz ilość sprawia, że wargi, czyli zmarszczki gardzielowe się rozciągają, czyli otwierają, w następstwie czego pewna część mleka dostaje się do pierwszego żołądka (torby. Torba nie trawi mleka, ponieważ ona nie wydziela soków trawieńcowych: mleko przechodzi w kiśnie ie, zsiada się w twaróg, za czem zjawie się odęcie. Jeżeli nie usunie się przyczyn, to żadne leczenia i lekarstwa na nic się przydadzą, odęcie staje się chronicznem i sprowadza nieraz niebezpiecznie występujący pomór cielat.

Do zakitowania pęknięć i szpar w kopytach u koni poleca paryska szkoła weterynarska środek następujący: dwie części gutaperki rozmiększa się w gorącej wodzie, rozdrabnia na drobne kawałki i stapia się z jedną częścią tłuczonej żywicy amoniakalnej, w naczyniu wybielonem. Podczas topienia trzeba ciągle mieszać, aż masa nabiera koloru czekulady. Do użycia, trzeba za każdym razem masę roztapiać. Nakłada się ją za pomocą rozgrzanego ostrza noża na kopyto zapełniając szczelnie pęknięcie. Naturalnie kopyto musi być pierwej doskonale oczyszczone Po zastygnięciu masa ta tak twardnieje, że można w nią nawet wbijać gwoździe, jak w róg.

Amorykańska konina. W Karsy, w stanie nowojorskim, utworzyło się stowarzyszenie, dostarcrające do Europy mięsa końskiego we formie wędzonych szynek, peklowanych żeber i koniny zasolonej. Stowarzyszenie gwarantowało w Ameryce, że produkta jego nie przyjdą na targi krajowe i tylko przeznaczone są dla zagranicy. Piękna perspektywa dla Europy! Mięso pakowane jest w skrzynie z wyraźnym napisem, że zawiera koninę. Każda przesełka zaopatrzona jest poświadczeniem, że zawartość skrzyni pod względem zdrowotnym badaną, jako zupełnie czysta i zdrowa uznaną została (naturalnie wedle znanych uczciwych zasad amerykańskich. Red.) W Stokholmie, już od roku mięso takie pojawiło się na targach.

Proszek na poprawienie mleka. Mleko nie wydające dostatecznej i normalnej ilości masła, pochodzi bardzo często od krów nie zupełnie zdrowych, których niedomaganie polega z nienormalności w trawieniu. Właściciel, nie badający codzienie uważnie i ściśle stanu zdrowotności swych krów, nie wie co począć, nie znając przyczyny złego. W gorzystych okoliach Saksonii, właściciele od dawna znają środek zapobiegawczy na złe trawienie i chorobę żołądka, a gdy podobny przypadek się zdarzy, że krowa niedomaga, zadają jej proszek, po zażyciu którego, w przeciągu jednej doby chorobliwość organów trawienie ustaje, wydajność mleka się zwiększa, a mleko same nabiera przymiotów pożądanych do wydania masła tłustego i smacznego. Proszek ten stanowią składniki zupełnie nieszkodliwe, jak: piołun, dwuwęglan sody (natrium bicarbonicum), tatarak i fosforan wapna (calcium-phosphat). W górach saskich lekarstwo to zna każdy aptekarz i ma je gotowe do użytku. Apteka weterynarska w Altenburgu pod Droznem, sprzedaje trzy pudełka proszku po 3 mk. franko. Po zadaniu go, krowy wydają mleko normalne, gdy przedtem było ono chude, niebieskawe, lub czerwone.

Łysiny, tak częste pojawiające się u mężczyzn są, jak się z badań okazuje, nieraz skutkiem zarażenia się jednej głowy od drugiej. Zbadano to na tych którzy mieli wielestyczności z ludźmi łysymi, a potem przez przemienianie czapek, lub kapeluszy, przenosili tę chorobę na innych.

Od Redakcji i Administracji

P. Dr. Affe w Ropczycach. Zaniechamy dalszego ogłoszenia.

Z. w Krakowie. Teatr lwowski rozpocznie przedstawienia w Krakowie 2. czerwca i rozpocznie je konkursową sztokę p. t. „Kraj". Bliższe szczegóły repertoaru znajdzie pan w pismach codziennych krakowskich.

P. Wołkowicz-Dunkirk (Ameryka). Należy nam się od p. 6. dol. Szczegółowe wyjaśnienie przesłaliśmy. Prosimy o odesłanie pocztą tej należytyści, abyśmy się ponownie upominać nie potrzebowali.

Autorom wierszy: „Dzieci", „Bocian i jaskółka" „Wiosna", „Kawalerowie na wydaniu" i „Trzy matki" — utwory panów drukowane nie będą.

Nadesłane.

Odpowiedzialny za redakcję i wydawca: **Fr. Ks. Kowaliszyn.**

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.